

OPŁATA POCZTOWA UISZCZONA RYCZAŁEM

WARSZAWA, ŚRODA 5 KWIETNIA 1933 ROKU Nr. 31

PIŁOMIYK

*Tygodnik ilustrowany
dla dzieci i młodzieży*



ŚMIESZKA

W SPRAWIE OGRODÓW SZKOLNYCH.

KOCHANY „PŁOMYKU”!

Jako stali czytelnicy „Płomyka” wiemy, jak często pomagasz dzieciom w różnych sprawach. Otóż i my, uczniowie kl. VI-ej i VII-ej szkoły pow. w Księżomierzy, pow. Janów lub., mamy do Ciebie, kochany „Płomyku”, wielką prośbę: poprosz w naszym imieniu dzieci, posiadające własne ogródki, lub szkoły, gdzie już istnieją ogrody szkolne, o nasiona kwiatowe, warzywne, o bulwy, dalej cebulki lilij, narcyzów i t. p., o krzewy bzu, jaśminu, o róże, o drzewka owocowe lub inne. Pragniemy bowiem w tym roku założyć swój ogród szkolny, który dotychczas leżał prawie ugiorem. Hodowalibyśmy w nim wszystkie rośliny polskie, uprawiane lub dziko rosnące, by z jednej strony mieć materiał do nauki przyrody, z drugiej, by przez szkołę wpłynąć na naszą wieś, aby się stała jednym ogrodem. Biedni jesteśmy, a potrzeb tak wiele, narazie więc nie stać nas na kupno potrzebnych roślin i nasion. Może nasi koledzy i koleżanki, rozsiani po całej Polsce, zechcą nam czemkolwiek pomóc, byśmy ogród nasz jak najpiękniej urządzili. Ciebie, kochany „Płomyku”, prosimy gorąco o pomoc i pośrednictwo i zgóry już dziękujemy.

Pozdrawiamy Cię serdecznie a wkrótce napiszemy, cośmy już w ogrodzie naszym zrobili.

Klasa VI-a i VII-a

siedmioklasowej szk. powsz. w Księżomierzy, poczta Gościeradów, pow. Janów lubelski.

Powyższy list dzieci z Księżomierzy nasunął „Płomykowi” myśl, żeby nasi Czytelnicy, którzy posiadają przy szkołach ogrody, zamieniali się nasionami i różnemi roślinami. Prosimy przysyłać zaraz adresy i zgłoszenia, które wydrukujemy, a porozumiecie się już bezpośrednio.

Trzeba się bardzo pośpieszyć!



PROŚBA DZIECI POLSKICH Z ZAGRANICY.

My z zagranicy — z różnych krajów
działki,

jakby sieroty, bez rodzonej matki,
ręce do Ciebie, Polsko, wyciągamy
i taką prośbę u stóp Twych składamy:
Niesłodka dla nas na obczyźnie dola...
Lecz, kiedy Niebios jest już taka wola,
że żyć musimy w różnej świata stronie,
w obcych nam krajach — w obcych
ludzi gronie,

to niech przynajmniej w szkole Cię
poznamy!

Lecz polskich szkół tu my tak mało
mamy!

Dopomóż, Matko, dopomóż nam, droga,
byśmy w polskiej mowie mogły chwalić Boga,
byśmy nie wpadły w obcej szkoły
sieci...

Tak z zagranicy proszą polskie dzieci!

Ofiary na szkoły polskie zagranicą składać można za pośrednictwem „Płomyka”.

PEŁOMYK

TYGODNIK ILUSTROWANY
DLA DZIECI I MŁODZIEŻY



ARCHIWUM ETNOGRAFICZNE.

Zwyczaje ludowe, związane ze świętami dorocznymi, lub ważniejszymi zajęciami gospodarskimi, giną w ostatnich czasach ogromnie prędko. Dlaczego? Bo życie nasze się zmienia, bo wielu ludzi ze wsi przechodzi do miasta, a tam inny świat, inne obyczaje, bo wreszcie te zwyczaje, które kiedyś były dla wszystkich zrozumiałe, wynikały bowiem z dawnych wierzeń, dziś są dla nas niezrozumiałe, a przez to czasem zabawnymi, nawet niemądrymi i praktykowanie ich wydaje nam się niestosowne. Możemy nie wierzyć w rozliczne zabobony, możemy nie przestrzegać wielu zwyczajów, ale powinniśmy je znać. Jest to bowiem nić, która początek swój ma w bardzo odległych czasach, a po której idąc, trafić możemy do kłębka, to jest zrozumieć i odczuć, jak to dawniej ludzie żyli, jak myśleli, w co wierzyli, możemy poznać kulturę tych ludzi, którzy oddawien dawna mieszkali na naszych ziemiach. A kto pozna wczoraj, ten zrozumie to, co jest dzisiaj i będzie wiedział, jak ma pracować dla jutra.

I jakżeż możemy poznawać nasze zwyczaje? Musimy przede wszystkim chcieć je poznać, potem nauczyć się patrzeć, słuchać i notować to, co się zaobserwowało.

Trzeba najprzód zdecydować, co się chce zaobserwować i opisać.

Weźmy na przykład Święta Wielkiejnocy, kolorowanie jaj.

Musimy zauważyć, którego dnia i kto zabiera się do roboty, jak to robią, jakich farb do tego używają, czy rysują wzory; jeśli tak, to jakie, jak się takie kolorowe jajka nazywają, jaki z nich potem czynią użytek?

Albo chodzenie z „kogutkiem”. Kto wędruje, chłopcy, czy dziewczęta, jak są dzieci ubrane, jak wygląda „kogutek”, przez kogo, z czego i kiedy był zrobiony, jakie piosenki śpiewają przy tej uroczystości, do kogo chodzą, jak są przyjmowani? Jak się kończy uroczystość „kogutka”?

Tak samo można opisać „gaik”.

Większość z Was zapewne bardzo lubi drugi dzień świąt Wielkiejnocy, bowiem powszechnie prawie obchodzony jest wtedy dyngus lub śmigus. Może jeszcze inaczej ten dzień nazywacie?

Zauważcie, jaki śmigus ma przebieg. Czy u Was nazywają dyngusem, czy tylko oblewaniem wodą, może jeszcze jaki inny zwyczaj nosi podobną, lub taką nazwę? Kto bywa oblewany, przez kogo, w ja-



kim czasie? Czy można dyngusu uniknąć, w jaki sposób? Czy bawicie się tego dnia w jakieś gry, jakie piosenki śpiewacie wtedy?

Pisać należy tylko to, co naprawdę poznacie, a o czym słysze-
licie napisać, zaznaczając, kto Wam podał tę wiadomość. Oto, jak
taka kartka będzie naprzykład wyglądała:

Województwo warszawskie, powiat ciechanowski, gmina Zalesie,
wieś Zalesie. Wielkanoc. Kolorowanie jaj.

Dalej nastąpi szczegółowy opis kolorowania jajek, a jeżeli piszący
słyszał, jak dawniej to robiono, opisz również, zaznaczając np.:

Słyszałem od Marjanny Kowalskiej, lat 62, zamieszkującej wieś
Zalesie od lat 25 i t. d.

Następnie kładziemy podpis, więc np. Stanisław Kowalski, uczeń
szkoły powsz. w Zalesiu, V oddział, poczem następuje data i adres.

W piosenkach, przysłowiach, lub przemówieniach zachowajcie ję-
zyk taki, jakim mówią w Waszych stronach.

Nie myślcie, że taka karta nikomu na nic nie będzie potrzebna.
Przyślijcie ją do redakcji „Płomyka”, a jeżeli opis będzie wierny i sta-
ranny, podane będzie to wszystko, co zaznaczałam w przykładzie i kart
tych będzie wiele, wtedy ludzie uczeni będą mogli z nich odczytać wię-
cej jeszcze, niż Wy napiszecie. Studjując i porównując różne materiały,
znajdziemy wytłumaczenie wielu zwyczajów, które dotąd jeszcze nie są
zrozumiałe. Opierając się na Waszych małych pracach, stwarzać
będą ci uczeni z pożytkiem dla nauki większe prace o życiu ludzi, czyli
prace etnograficzne.

Przy nadchodzących więc świętach patrzcie i słuchajcie pilnie,
a to, co zanotujecie, przysyłajcie zaraz do „Płomyka”.

My te Wasze karty skierujemy do instytucji, zajmującej się po-
dobnymi sprawami. Instytucja ta nazywa się Archiwum Etnograficzne
i odniedawna dopiero zaczęła swe prace. Jeszcze nieraz o podobną
pomoc w pracy naukowej prosić Was będziemy.

H. Żółtowska.

WJAZD DO JEROZOLIMY.

*Pan na osiołku jedzie...
A lud woła: — Hosanna!
Z palmami biegną na przedzie,
z palmami się cisną do Pana.
Po liściach palm jedwabnych
szeleszczą ośleć kroki,
a to wołanie: — Hosanna! —
bije, jak hymn pod obłoki.
Rzucili szaty na drogę.
Miękką stąpały kopyta.*

*— O królu, Synu Dawida!
Lud Boga w pokorze wita.
Las rąk do Ciebie się wznosi.
Gałązki idą, jak żywe,
patrzą na tłumy Twe oczy
bezbrzeżne i miłościwe.
A ten, na którym spoczęły
na jedno najcichsze mgnienie,
wiedział, że gdyby lud milczał,
będą wołały kamienie...*

STEFANJA SZUCHOWA.



Fot. Photo-Plat.

NA JEDNYM KRAMIKU BARANKÓW BEZ LIKU.

PRZED ŚWIĘTAMI.

Hej, kwiecień - plecień! Tak pięknie na świecie! Coraz dłuższe dni, coraz cieplejsze ranki. Na rogach ulic sprzedają fiołki, sa-sanki i kaczeńce złociste, jak słońce, dalekimi łakami pachnące. Coraz silniej świeci słońce złotą smugą. Zajrzyjcie do kalendarza: już Wielkanoc niedługo.

Wicie wszyscy i beze mnie, jak to przed świętami przyjemnie, jak się chodzi krokiem żwawym od wystawy do wystawy. Tyle ciekawych wystaw, że choć przed każdą przystań! Tu, na przykład, w wielkim sklepie z czekoladą wczoraj były tylko cukierki i skromniutkie pierniczki, a dziś ustawiono rzędem wielkanocne stoliczki. Na każdym z nich na białym obrusku leży kropidełko, stoi baranek w kożusku, dalej mała z marcepanu szynka, jajeczka, naparsteczek winka, kiełbaski cukrowe i chlebuś malutki, ot, zda się za chwilę z fabryki wrócić krasnoludki. Do uczty zasiadają bardzo radzi. Jeden baranka pogładzi, drugi z małej doniczuszki uszczknie listeczek rzeżuszki, trzeci schowa do kieszeni cały torcik słodki dla swojej znajomej sierotki... Śliczne stoliczki, ale chodźmy dalej!

Patrzcie, na drugiej wystawie fiołkowe jajo, a w niem małe, puchate kurczątka mieszkają. Takie żółte puszeki, co mają czerwone nóż-

ki i na główkach kolorowe, modne kapeluszeki. A jeden ma laseczkę i czarny cylinderek i wybiera się z kurką na mały spacer. A tam dalej czekoladowa kurka nastrożyła piórka, a koło kurki migdałowe mazurki, a dalej dzwon z czekolady, choć na alarm nie uderzy, ale podobny jest do dzwonu Zygmunta, z dalekiej krakowskiej wieży. A nad tem wszystkim złoty napis się buja: „Wesołego Alleluja”.

Obejrzeście wystawy? Chodźmy teraz na plac. Obejrzymy kramy ze święconkami. Patrzcie! Tu na jednym kramiku baranków bez liku. Woła kramarz:

— Baranki, baraneczki, dla synka, dla córeczki! Baranki! Baranki! Dać baranka, paniusiu?

Patrzcie! Przyszła już Hela i Janka, wybierają sobie baranka.

— Ten ładny, tamten jeszcze ładniejszy, o, weźmiemy tego.

Hela i Janka grosiki liczą i uśmiechają się tajemniczo.

— Sliczny baranek! Teraz jeszcze kupimy ze cztery warkocze widłaków i ze dwa pęczki borówczanych listków. W domu jeszcze mamy mazurek z pomarańczowych skórek i firaneczki z białej bibułeczki i dwie doniczki zielonej rzeżuszki, będzie niespodzianka dla Władziowej staruszki.

A któż to jest ta Władziowa?

Władziowa to posługaczka. Mieszka w małej suterynce, w tym domu, gdzie Hela i Janka. Teraz Władziowa choruje i jak rok długi nie może chodzić na posługi. Niedawno dziewczynki spotkały staruszkę na schodach. Mówiły to i owo:

— Dzieńdobry, pani Władziowo. Czy pani wie, że to niedługo święta, czy pani o tem pamięta?

A Władziowa na to: — Cóż dziś dla mnie święto znaczy? Już rok jestem bez pracy. W tej mojej suterynie ani kwiatka, ani firaneczki, ani nawet ognia w kominie. Ani zielonego, ani święconego, ani mazureczka, lukrem ubranego. Usiądę sobie w kącie i tyle będzie mego święta.

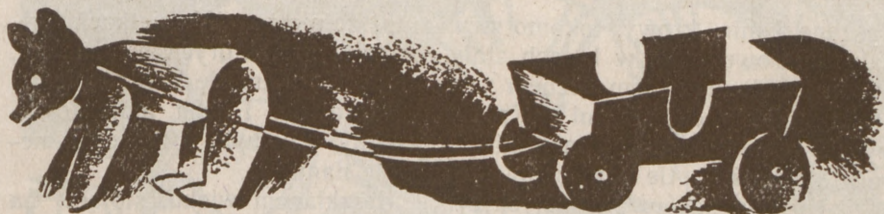
Poszła Władziowa, a Hela gadu, gadu z Janką:

— Wiesz, musimy przystroić Władziowej mieszkanko. Ja z bibułeczki wytnę firaneczki, ty z pomarańczowych skórek upieczesz ładny mazurek, baranka kupimy, a jeszcze do tego trochę zielonego. Zobaczysz, jak będzie wspaniale!...

Idzie Hela z Janką, cieszą się niespodzianką. Już teraz na pewno w dzień Wielkiego Święta pocziwa Władziowa będzie uśmiechnięta.

Lucyna Krzemieniecka.





1) PRZYGODY LALECZKI.

Napisała Zofja Lepecka.

DANO MI NA IMIĘ KLARA.

Jakie dziwne jest moje życie! Pewnego dnia po długiej podróży w strasznej ciemności i męczarniach tak okropnych, że cała droga wydała mi się ciężkim snem, uczułam, jak mnie ktoś unosi w powietrze i stawia na czemś twardem. Odetchnęłam swobodniej. Wprawdzie ciemność nie rozjaśniła się jeszcze i w dalszym ciągu było mi duszno, ale ustało już huśtanie i podrzucanie, które przez tyle godzin niemiłosiernie tłukło mi głowę. W pewnej chwili jakaś ręka usunęła tłoczące mię wieko i fala światła zamroczyła mi wzrok. Nareszcie odzyskałam przytomność. Jakież było moje zdziwienie, gdy obok siebie ujrzałam kilka istotek, zupełnie do mnie podobnych. Nie sama więc odbyłam tę okropną podróż. Leżałyśmy wszystkie w białym, dosyć dużym pudełku. Każda z nas otulona była w białą bibułkę, dlatego nie wiedziałyśmy nic o sobie i jakże bałyśmy się, słysząc wśród ciemności szmery i ciche westchnienia. Ta sama ręka, która otworzyła wieko pudełka, wzięła jedną z towarzyszek mej podróży. Spojrzałam w górę i zobaczyłam miłą, uśmiechniętą twarz pani, pochylonej nad nami. Ona to uwalniała nas pokolei z krępujących więzów bibułki. Miałyśmy na sobie króciutkie, kolorowe sukienki, na głowach kokardki. Były tam włosy jasne, ciemne, złote, czarne. Ja miałam włoski krótko ucięte, tak jasne, że prawie białe, nad czołem grzywkę. Na głowie jasną, koloru słomy świeżo ściętej kokardkę i żółtą sukienkę, obszytą na dole białą koronką. Towarzyszki moje miały tak samo uszyte sukienki, tylko w innych kolorach.

Kiedy pani wzięła mię w rękę, rozejrzałam się, gdzie jestem. Był to duży pokój. Dokoła ścian biegły szafy i półki, a przed szafami stały długie, wąskie stoły. Na niektórych stołach widać było duże, płaskie, drewniane pudła, których wieka były szklane. Z za szyb szaf wyglądały wielkie lalki, z długimi jasnymi lokami, w ślicznych sukniach i bogatych kapeluszach. W pulchnych, różowych buziach lśniły białe ząbki, a śmiejące się oczy mogły otwierać się i zamykać.

Półki, szafy, skrzynki szklane na stołach roily się od mieszkańców. Były tam lalki - naguski, duże i małe, stojące, siedzące, kąpiące się w wannie, czarne murzynki, bure niedźwiadki, czarne i białe koty,

blaszane konie, krowy, lokomotywy, auta, żołnierze. W siatkach wisiały kolorowe piłki, w kątach stały rozmaite gry, których nie znałam. Byłam oszołomiona tem licznem zebraniem. Uczułam się bardzo biedna i taka mała, że chciało mi się płakać. Naprawdę. I ja i moje towarzyski byłyśmy bardzo malutkie. Miałyśmy zaledwie kilka centymetrów wysokości. Ale pani zaopiekowała się nami.

Ułożyła nas w płaskiej skrzynce, o szklanem wieku, stojącej na długim, wąskim stole.

Pani miała bardzo dużo gości. Ciągłe ktoś wchodził i wychodził. Najczęściej przychodziły tam panie z dziećmi. Dzieci się śmiały i wyciągały ręczki do zabawek. Niektóre z nich wołały: „Mamusiu, kup mi tę lalkę!” albo „Mamusiu, kup mi ten samochód!”. Nie wiedziałyśmy, co to znaczy. Widziałyśmy tylko, jak nasza pani ładnie się uśmiechała, brała do ręki lalkę albo inną zabawkę i pokazywała dziecku. Potem pakowała w papier, brała od pani, która przyszła, jakieś papiery, albo srebrne blaszki i zapakowaną zabawkę oddawała pani lub dziecku. Dziecko wtedy bardzo się cieszyło i wychodziło z paczką za swoją mamusią. Wiedziałyśmy, że lalka lub inna zabawka, raz zapakowane, nigdy już nie wracały. Nic z tego nie rozumiałyśmy i byłyśmy ciekawe, czy z nami będzie tak samo.

Aż pewnego dnia dowiedziałyśmy się, że pokój, w którym mieszkaliśmy, jest to sklep z zabawkami i każdy, kto chce, może wejść do sklepu i kupić zabawkę. Papierki i srebrne blaszki, za które dostaje się zabawki, to są pieniądze. A nas tu sprowadzono dlatego, żeby sprzedać.

I wybiła moja godzina!

Pewnego wieczoru weszła do sklepu młoda panienka w towarzystwie swego brata.

— Widzieliśmy na wystawie taką ładną laleczkę, chcieliśmy poprosić o podobną.

Wówczas nasza pani otworzyła gablotkę, gdzie leżałyśmy zamarle w oczekiwaniu.

— Proszę, państwo będą łaskawi wybrać.

Razem z towarzyszkami znalazłam się na kontuarze. Zaczęły się oglądziny. Naraz wzrok panienki padł na mnie: — Ach, patrz, jaka ta śliczna, taka jasna!

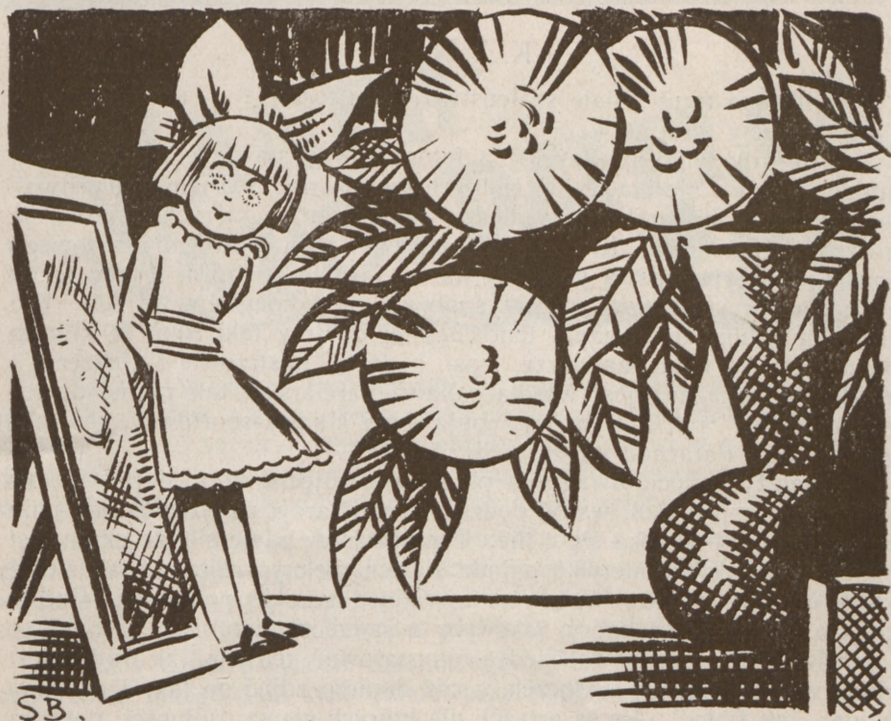
Los mój został rozstrzygnięty. Zapakowano mnie i panienka wyniosła mię w świat. Po wyjściu ze sklepu zostałam rozpakowana.

— Musimy ją zobaczyć, taka ładna. Nazwijmy ją Klara! Klara to znaczy po łacinie „jasna”, tak jasna, jak słońce.

I zostałam Klarą. Rozpoczęło się nowe życie.

W NOWYM DOMU.

Znalazłam się w niewielkim, ładnym, różowym pokoiku. Moja nowa pani pogłaskała mię po głowie, pohustała i powiedziała mi do ucha, że będę z nią zawsze razem. Otrzymałam miejsce na stoliku i stałam tam, wsparta o portret mej pani. W oczy zaglądały mi białe kwiaty.



... stałam tam, wsparta o portret mej pani...

Moi państwo lubili mnie bardzo. Często słyszałam w ustach ich me imię. Czasem brała mnie pani na przechadzkę. Wówczas leżałam sobie w torebce, a jeśli było coś ciekawego do zobaczenia, pani wyjmowała mnie i pokazywała różne, ładne rzeczy. W ten sposób minęła zima i wiosna poczęła uciekać przed latem.

Pewnego dnia zauważyłam, że dzieje się coś niezwykłego. Pannienka z braciszkiem pochylali się nad mapą i bardzo żywo rozmawiali. Z tej rozmowy zapamiętałam wyraz „morze”, później zaczęło się pakowanie rzeczy — pannienka była bardzo zajęta, biegła to tu, to tam. Naraz serce mi zabiło:

— Klarę też zabierzemy ze sobą, niech i ona zobaczy słońce i morze!

— Doskonale.

I pani, ucałowawszy mnie w nos, ułożyła w małe pudełeczko i zamknęła w torebce.

Dalszy ciąg nastąpi.



K I N O.

Film ma tytuł „Białe szaleństwo”. Co to jest? — pomyślicie. — Co za dziwny tytuł?

Ale gdy tylko spojrzycie na fotografie, wystawione przed kinem, odrazu wiecie i nie macie już żadnych wątpliwości: „Białe szaleństwo” to jest sport narciarski, a „szaleńcy” to narciarze, których światem są góry, śnieg i słońce. Kto sam nie uprawia tego pięknego i zdrowego sportu, z przyjemnością popatrzy na to, jak się zdobywa sztukę jazdy na nartach i jak się ją wykorzystuje na najcudniejszym tle Alp. Kto zaś sam sztukę tę posiada, tem chętniej obejrzy taki film, w którym bohaterami są tylko narciarze, lepsi i gorsi, mistrzowie i „fuszerzy”, w którym pokazana jest wesoła zabawa narciarska, tak zwane „polowanie na lisa” i w którym występują dwaj komicy-sportowcy, coś jakgdyby Pat i Patachon na nartach.

Należy zwrócić uwagę na przepiękne zdjęcia, które dają widzowi złudzenie, że jest tam, wśród pędzących narciarzy, że wraz z nimi mija przeszkody, lub potyka się o nie. Czasem znów zdaje się, że ekran jest oknem, przez które nie tylko ogląda się ten piękny krajobraz, ale przez które na salę widzów wpada orzeźwiające górskie powietrze. Często zdjęcia dokonane są zgóry, jakgdyby z samolotu.

Kto z Was próbował kiedyś fotografować, ten wie, jak trudno jest zdjąć wyraźnie każdy widoczek, a cóż dopiero zdjąć go tak, ażeby wyglądał „jak żywy”. Ale są artyści, dla których niema trudności: potrafią robić zdjęcia przy najtrudniejszym oświetleniu i w najbardziej niewygodnych pozycjach, i to zdjęcia kinematograficzne, o tyle trudniejsze, że aparat jest duży i ciężki. Specjalistami od takich zdjęć w górach, na najbardziej stromych skałach, na niebotycznych wysokościach, w rozpadlinach głębokich na kilkadziesiąt metrów, są dwaj znakomici alpinści: dr. Fank i Luis Trenker. Oni to pierwsi pokazali nam w kinie piękno i grozę gór i człowieka, walczącego zwycięsko z tajemniczymi siłami przyrody górskiej. Filmy takie, jak np. „Białe piekło” albo „Tragedja na Mont Blanc”, pozostawiają niezatarte wrażenie, gdyż dzięki nim dociera się do serca gór, tam, gdzie rzadko tylko dostaje się przeciętny człowiek, nie mogący sobie wyobrazić wszystkich niebezpieczeństw i cudowności, na jakie napotyka taternik albo alpinista. W „Białym szaleństwie” niema takich momentów dramatycznych, ale jest to samo piękno i dużo, dużo wesołości.

Stef. H.





Szło ku wiosnie. Dni stawały się dłuższe, słońce mocniej przegrzewało. Półem, po pagórkach, szedł cieplejszy podmuch wiatru: czuło się w powietrzu ożywczę tchnienie wiosny. Gdy dzieci w przerwie między lekcjami wybiegały przed szkołę, ogarniała je dziwna radość: ruchliwe i pełne życia kręciły się tu i tam, niby stadko wróbelków.

Śnieg tajał szybko. W koleinach na drodze, z pagórków na polach, ciurkała woda, spływając wąskim pasemkiem do rowów. Cienkie szkliwo lodowe łamało się pod nogami, woda chlupotała, powstawały na drodze bajorka, utrudniające dzieciom przejście do szkoły.

Każdy dzień przynosił coś nowego. Dziś dał się słyszeć śpiew skowronka, innego dnia ktoś widział przylot dzikiego plectwa.

Zeszłoroczne badyle sterczały w ogrodzie. Zebrały się tu dzieci: mówiono o czekającej je robocie w ogródkach. Właśnie wybiegł z mieszkania nauczyciela śmigły, szczupły, 14-letni może chłopiec w ciepłym kożusku i przyłączył się do stojącej gromadki.

— Nad czymże tak radzicie?

— Widzisz, Janku — rzekł Tomek Soja, — mówimy, że nasze ogródki w zeszłym roku wcale nam się nie udały. Każde z nas miało swoją rabatkę i był z tego naprawdę groch z kapustą. Jedno z nas uprawiało lepiej, inne zapuściło chwastami. Józka Sikory ogródek wypadł w narożniku przy drodze i cały mu wydeptali, aż go wreszcie zupełnie zaniedbał. Radzimy, jakby tu inaczej urządzić.

Janek był bratem pana nauczyciela. Uczył się w mieście, w bardzo dużej szkole i przyjechał tutaj po przebyciu ciężkiej choroby, wysłany przez doktora na wieś, żeby ozdrowiał. Był usposobienia żywego, wesołego i serdecznego, to też żył się łatwo z dziećmi ze szkoły, a z kilku chłopcami szczerze się zaprzyjaźnił.

Janek jego oczy ogarnęły stojącą gromadkę. Rzekł z wolna:

— Mnie się też zdaje, że to do niczego taka gospodarka, każdy tylko dla siebie. Toć nas tu gromadka, a gromada to siła. — Potem z wolna, niby odniechcenia, jął opowiadać, że on i jego koledzy mają przy szkole ogródek, który wszyscy wspólnie uprawiają i żadnych kłótni z tego nigdy niema.

— Hale, jakże to, jeden będzie robił, siał, inny palcem nie ruszy, tylko będzie chciał groch sobie łuskać i wyjadać, a znów poniekąd



— Widzisz, Janku — rzekł Tomek Soja...

dziewczynka same kwiatki by siała... Nie może być, nanic taka robota! — wołały dzieci.

Widocznie jednak argumenty Janka zaciekały większość, gdyż zaczęto wołać:

— Doradź nam, jak to trzeba urządzić.

— Bardzo prosto: wspólnie kopiemy, siejemy, sadzimy, podlewamy i pielęgnujemy, wspólnie z tego korzystamy. Od roboty się nie uchylamy, boć to nasza sprawa. Co do samego planu ogrodu, musielibyśmy się naradzić z nauczycielem.

Nauczyciel przyklasnął nowemu projektowi i przyobiegał swą pomoc.

— Będziemy zakładali ten ogródek — rzekł — z myślą, by był pożyteczny gospodarczo, był miły dla oka a także, by pouczał was o najważniejszych i najciekawszych zjawiskach z życia roślin.

Podzielono więc całą przestrzeń na ogród warzywny, kwiatowy, na sad, w którym postanowiono zaprowadzić szkółkę drzewek owocowych, dalej miały iść rośliny lekarskie; nie zapomniano też o poletku doświadczalnem.

Z jakąż energią i radością zabrano się do roboty! Oczyszczono pole z badyli zeszłorocznych, przekopano, znawożono, okolono rowem przed szkodnikami (rów miał być obsadzony wikliną, przydatną na roboty koszykarskie), wreszcie wytyczone były rabaty i ścieżki.



... już zdaleka wymachiwał czapeczką.

Janek pomagał dzielnie i niejedną pożyteczną myśl dorzucił. Opowiadał też nieraz o życiu swem szkolnem, o różnych szkolnych organizacjach, lecz najchętniej mówił o spółdzielni uczniowskiej. — Wystawcie sobie, że mamy własny sklepik uczniowski, w którym kupujemy przybory szkolne i materiały piśmienne.

Dziwiono się: — Jakże to, skąd na to pieniądze?

— Na początku złożyliśmy po złotówce, jako udział, boć trzeba było mieć gotówkę na materiały, wybraliśmy między sobą zarząd i sklepowego, a potem to już szło. Kupujemy w naszym sklepiku, prowadzimy rachunki, sprowadzamy nowy towar.

— No, no... — dziwiły się dzieci, — tacyście to mądrzy.

— I jeszcze wam coś powiem. Po roku z zysku, jaki dał nasz sklepik, kupiliśmy sobie piłkę dla wspólnej zabawy. I nasiona do swego ogródka kupić mogliśmy.

— Prawda, — zawołał Tomek Soja, — za cóż my kupimy nasion i szczepy?

— Narazie ten i ów o coś się wystara i przyniesie, potem już sam ogród powinien na siebie zarobić. Dobrzeby było, — dodał Janek, — by zdobyć doborowe nasienie kapusty, a potem rozsada obdzielić całą naszą wieś. Dopieroby wszyscy przekonali się do naszego ogródka!

— O, dobrze to byłoby, dobrze! — wołały na wyścigi dzieci.

Stało na tem, że nasienie skądś dostać trzeba koniecznie. Tym-

czasem dzieci porobiły skrzynie, ziemię w nich staranniej uprawiły, okrywały gałęziami na noc, a w południe wystawiały pod działanie słońca, by się ziemia wygrzała.

Pewnego dnia dzieci nie zastały w ogrodzie Janka.

Snuły różne domysły, co się z nim mogło stać, gdyż zawsze brał udział w ich pracy w ogrodzie, a tak było z nim miło i wesoło.

— A może zachorował? — troskała się Marysia Pełczanka.

— Eh, — mruknął Edek Stępień, który wszystko zawsze widział w czarnych kolorach, — pewnie mu się sprzykrzyło już z nami.

— Nie może być, on nie taki — odezwały się liczne głosy.

— A dycь to on, tam, koło figury!

Istotnie na drodze ukazał się Janek i już zdaleka wymachiwał czapeczką. Tuż przy nodze jego biegł kundys podwórzowy z czarną łatką, z nosem owczarka i z krótkim ogonkiem. Był to Bobik, faworyt Janka, a zachwyt wszystkich dzieci. W zębach trzymał koszyk, z którego wyglądały jakieś paczki. Gdy obaj znaleźli się w ogródku, kundys złożył koszyk u stóp Janka.

— Patrzajcie, co przyniósł Bobik z poczty — wołał Janek.

— Co, co?

— Oto — wołał Janek potrząsając w górę paczką, — doborowe nasienie rozsady.

— Jakże to? Skąd?

— To moja niespodzianka. Napisałem list do szkoły, opisując nasze zamierzenia i kłopoty. Patrzcie, co mi piszą:

„Życzymy wam, by nasienie obrodziło i cała wieś miała z niego pożytek, a całej szkole życzymy wytrwania w rozpoczętej wspólnymi siłami pracy. Niechaj jej przyświeca hasło, które podjęła nasza szkoła, a które dla pamięci cytujemy:

Połączone siły jednostek tworzą wielką potęgę zbiorową, która wielokrotnia wysiłek pojedynczego człowieka i przyspiesza dojście do celu”.

Wacława Kiślańska.

HISTORYJKA W OBRAZKACH.

Spojrzyjcie na następną stronę! Czy rozumiecie, jak to było?

Oto koń cyrkowy umiał taką sztukę: jeśli go ktoś poklepał po szyi, koń natychmiast stawał dęba i zdejmował temu komuś zębami czapkę.

Długo cyrkowiec pokazywał w cyrku sztuki z tym koniem. Wreszcie zbiedniał, zabrakło mu pieniędzy i musiał sprzedać mądrego ulubieńca.

Kupił konika oficer. Siadł na niego i jedzie. Wtem spotyka pana generała. Podobał się śliczny rumak generałowi.

— Ach! Jaki piękny koń! — mówi pan generał i klepie konika po szyi.

A tu koń dęba staje i łap za czapkę generalską. A oficer, który się niczego nie spodziewał, — fik! z siodła na ziemię!

JAK KON CYRKOWY OBRAZIŁ GENERAŁA



— Bo my właśnie z jedną panią Adelinką założyliśmy taki Klub Bursztynowych Serduszek i Karl do niego należy też, choć on jest Niemiec — nieśmiało zwierzył się Piotruś ojcu, przytulając zarumienioną twarzyczkę do ojcowego rękawa.

— Co? — spytał ojciec, bo niebardzo zrozumiał, o czym mu tam Piotruś w rękaw mruczy.

— Co? Bursztynowe Serduszka? Ano każdemu człowiekowi, czy on Polak, Niemiec, Francuz, czy Chińczyk, przydałoby się serce, jak bursztyn bałtycki jasne i czyste.

— Ja słyszałem od jednego marynarza — wtrącił się gadatliwy Karl, — że w Ameryce biali nie chcą ani jeździć w jednym wagonie z Murzynami, ani jeść przy jednym stole, a nawet w jednej sali z nimi. I Anglicy w swoich kolonjach z Hindusami robią to samo. I Holendrzy z Malajami też.

— A i ten twój Franc taki sam — wtrącił Piotruś.

— To nie jest Recht — mówił, zapalając się Karl, — bo każdy człowiek jest człowiek.

— A ja, jak dorosnę i się dorobię, to będę trzymał taką gospodę, gdzie wszyscy goście będą siedzieli przy jednym stole zapanbrat. Czy biali, czy kolorowi.

— Czy ta gospoda będzie się także nazywała „Pod Kotwicą”? — spytał zaciekawiony projektem przyjaciela Piotruś.

— Nie — powiedział Karl i uśmiechnął się tajemniczo: — ona się będzie nazywała: gospoda „Pod wspólną banderą”.

— To niech już będzie „Pod tęczową banderą” — roześmiał się Piotruś, — bo pamiętasz ty tę naszą fortecę z piasku, co tośmy ją wspólnie budowali? Jak zatknęliśmy na szczycie wszystkie bandery, to to wyglądało zdaleka, jak jedna i właśnie tęczowa.

I ja taką właśnie prawdziwą tęczową banderę wywieszę na moim okręcie, jak zostanę kapitanem.

— To ty, Piotruś, chcesz kapitanem zostać, nie majstrem ślusarskim? — zdziwił się pan Piotr Kwieciński, ale i ucieszył.

— Daj ci, Boże, chłopaku! Daj ci, Boże! — i zaraz rozweselił się stary. — A jak ci się co zacznie psuć na tym okręcie — mnie wołaj. Na ślusarce się znam dobrze i na stolarce też.

I podniósł pan majster Piotr Kwieciński szklanekę z kawą do góry:

— Niech żyje i rozwija się flota polska w Gdyni! — i wypił duszkiem.

— Niech żyje! — zawtórowali ochoczo Piotruś z Karolem.

— A teraz, chłopcze, sakum pakum i maszerujemy do twoich gospodarzy Suliców, a potem wio! do matki i do dzieciak w Warszawie.

Dokończenie nastąpi.

31)

TAJEMNICA HOGGARU.

Napisał L. Życki-Malachowski.

A czynią to tak. Usunąwszy z ubrania wszelkie przedmioty metalowe, kładą się na sen przy grobowcach i, według ich wierzeń, ukazuje im się we śnie olbrzym, który daje im odpowiedzi na zapytania. Zachowują jednożeństwo i kobiety ich cieszą się całkowitą swobodą i chodzą, w przeciwieństwie do innych kobiet mahometañskich, z nieosłoniętą twarzą. Choć są mahometanami, czczą znak krzyża i umieszczają go na swych domostwach, sprzętach i broni. Ich miecze mają taki sam kształt, jak miecze dawnych rycerzy krzyżowych.

Rozmawiali długo w noc, aż wreszcie chłopiec udał się do swego namiotu. Idąc cichym i elastycznym krokiem harcerza, ujrzał nagle Telesforek jakąś postać, skradającą się pod namiot amenokała Alego. Czyliła to ona z ogromną ostrożnością i to się wydało bardzo podejrzanem Telesforkowi. Począł ze swej strony przysuwać się jak najbliżej owej postaci i dostrzegł w słabym świetle gwiazd w jej ręku coś błyszczącego.

Nie było czasu na namysł. Chłopiec skoczył, jak tygrys, na kark napastnika, chwytając go i alarmując jednocześnie obóz.

Napastnik oszołomiony upadł, lecz natychmiast zwinnie się skręcił i pchnął chłopca trzymanym w ręce nożem. Gwałtowny ból w ramieniu zmusił Telesforka do puszczenia napastnika, który nie czekając dłużej, uciekł, gdyż już nadbiegał Jussup wraz z kilku Tuaregami ze straży.

Zrobił się gwałt. Zbiegli się wszyscy koło rannego. Rozebrano Telesforka i okazało się, na szczęście, że jest on ranny dość powierzchownie w ramię.

Lecz chłopiec był niezmiernie dumny, gdyż ta rana, poniesiona w obronie młodego wodza Tuaregów, była najlepszym dowodem, że jednak się na coś przydał na pustyni. Potwierdził to z całą powagą i ojciec, a młody amenokał serdecznie mu podziękował i zmusił go do przyjęcia pięknego wierzchowca, chociaż się chłopiec od przyjęcia go bardzo wymawiał, mówiąc, że on nie dla nagród zrobił to, co powinien uczynić każdy harcerz.

POD TCHNIENIEM SAMUMU.

Na drugi dzień o świcie opuszczono oazę, gdyż lekkie draśnięcie Telesforka nie stanęło temu, na szczęście, na przeszkodzie.

Dzień był jakiś dziwnie zamglony i duszny i Jussup niebardzo miał chęć na dalszy marsz. Ale nie można było zwlekać. Należało jak najprędzej połączyć się ze starym amenokalem Ahamukiem, gdyż w okolicy In-Salah krążyło podobno wrogie Tuaregom plemię Beduinów Szambaasów, którzyby nie pominęli okazji zrabowania ich obozu.

Tuaregowie przyłączyli się do nich i maszerowano zwolna szeroką ławą, rozglądając się bacznie po okolicy.

Karawana postępowała z wolna przez piaszczystą, różową, mile kojącą wzrok równinę, zaś Telesforek, jadąc przy boku wujaszka trochę blady, ale pełen animuszu, słuchał jego ciekawych opowieści o zwyczajach różnych ludów przy jedzeniu.

— Dawniej i w naszej Europie nie jadano inaczej, niż ci koczownicy — opowiadał wujaszek. — Jeszcze do połowy XVII-go wieku uważano noże i widelce za oznakę najbardziej wyrefinowanej rozrzutności. Do tego czasu jadano ze wspólnej misy palcami i łyżką, a pito z jednego dużego pucharu, który stale krążył dokoła stołu. Picie zaś z kieliszków uważane było za zbytek nawet na królewskim dworze. Słynny kardynał francuski Mazarini wprowadził po raz pierwszy we Francji głębokie talerze, rugując w ten sposób wspólną misę. Książęta i księżniczki posługiwali się jeszcze na dworze Ludwika XIV bez skrępowania „pięciopalcowym widelcem”. Istniały nawet specjalne przepisy etykiety dworskiej, opisujące sposób, w jaki należało palcami wybierać z półmiska rozmaite gatunki mięsów. Jeden z pisarzy owych czasów pisze, że jest oznaką braku ogłady towarzyskiej, jeżeli ktoś palce, któremi jada, oblizuje lub też wyciera o swoje ubranie. Przepisy dobrego tonu nakazują, aby je wytrzeć o obrus.

— Pyszne przepisy — zauważył Telesforek, — tylko mamusia nigdyby się na nie nie zgodziła.

— O, z całą pewnością! Jużemy od tych czasów cokolwiek odbiegli, ale nasi przyjaciele Tuaregowie wciąż jeszcze w nich tkwią.

— I dlatego będzie dla nich z pożytkiem, gdy ich troszkę naprzód popchniemy.

— Zapewne, ale to popychanie musi być bardzo ostrożne, gdyż zbyt gwałtowne mogłoby wywołać niepożądany dla nas w skutkach ruch wsteczny. Zresztą trzeba szanować i ich zwyczaje.

Karawana szła, według instrukcji Alego, w szyku, który możnaby nazwać bojowym. Tuaregowie tworzyli jej straż przednią i tylną, a główne siły tworzyli członkowie ekspedycji, uzbrojeni w swoje karabinki - mitraljezy.

Należało się spodziewać, że Nazir otrzymał już wiadomości o uratowaniu się Alego i będzie się starał przeszkodzić karawanie w połączeniu się z głównymi siłami, zebranymi przez Ahamuka. Przypuszczenie to zdawało się potwierdzać ukazanie się na skraju horyzontu kilku postaci na wielbłądach, które zdawały się czekać na karawanę, gdyż potem zniknęły i już się więcej nie pokazały.

Miejsce wybrane na nocny postój karawany było bardzo piękne i obronne. Tyły obozu ubezpieczała ściana skalna, stroma i niedostępna, wysoka na jakieś sto metrów, zaś z przodu rozciągała się równa przestrzeń jasnożółtego mułu, tak twardego, jak bruk drewniany. Przestrzeń ta rozciągała się o jakieś pięćset metrów naokoło i była tak gładka, jak powierzchnia jeziora. Napastnik musiał zaryzykować jej przebycie bez możliwości korzystania z jakiejkolwiek osłony. Wdali widniały kopulaste pagórki, będące przednią strażą Hoggaru.

Lecz mimo tak pięknego miejsca postoju Jussup nie był zadowolony. Na zapytanie Zadory wskazał na horyzont, który się okrył jakby czerwonałą mgłą i rzekł: — Nadchodzi król huraganów.

Tak, nie trzeba się było łudzić, samum się zbliżał. Już i wielbłądy poczuły go i jęczały ze strachu, pokładłszy się na ziemi. Gorąco się wzmogło do najwyższego natężenia, tak, że członkowie karawany pocili się, jak myszy. Tej nocy nie usnął nikt w obozie.

Wschodzącego słońca nikt nie widział, gdyż niebo pokryła gruba, sucha i nieprzejrzysta mgła z wiszącego pyłu. Rozwidniło się, jak w szary, deszczowy dzień w Polsce i w tym półmroku ujrano kilkadziesiąt jeźdźców, otaczających półkolem oboz.

Lecz ich wielbłądy, mimo bicia rzemiennymi batami, nie chciały dalej się posuwać i pokładły się na ziemię.

Zerwał się z nagłą cichy, rozpalony wiatr. Co pewien czas przerwały go nadlatujące silniejsze podmuchy. Stawały się one coraz częstsze, aż wreszcie zerwał się z szaloną gwałtownością orkan. Gdyby w takiej chwili jeździec jakiś chciał jechać na swym wielbłądzie, orkan zrzuciłby go z siodła. Gorąco stawało się coraz większe a wiatr wysysał z ciała ostatnią kroplę wilgoci. Piasek niezmiernie delikatny wdierał się nawet przez ubranie i parzył ciało. Głowa bolała i nie można było chwycić oddechu. Ciało, złane potem, nie zdołało nawet zwilżyć odzienia, tak szybko wysysało rozżarzone powietrze każdą kroplę wilgoci.

Karawana, zasłonięta skałą od najgorszych podmuchów, nie traciła spokoju ducha. Zapasy wody były jeszcze znaczne i można było co chwila zwilżać spragnione usta.

Lecz gorzej się miało z tajemniczymi jeźdźcami. Leżąc na otwartej przestrzeni, musieli oni o wiele gorzej cierpieć z powodu strasznego huraganu.

W obozie, najwięcej może ze wszystkich, ze względu na swą świeżą ranę, cierpiał Telesforek. Ale on był najpierwszym, który po uczeniu się samumu, trwającego cały dzień, rzucił się, choć na chwiejnych trochę nogach, na pomoc zasypianym piaskiem jeźdźcom.

Dalszy ciąg nastąpi.

WASZ ALBUMIK ZE ZWIERZĘTAMI.

„Płomyk” ma nadzieję, że należycie wykorzystaliście przyslaną w poprzednim numerze niespodziankę, to znaczy: albumik jest zrobiony, obrazki ze zwierzętami równiutko wycięte i przyklepione na prawych stroniczkach, podpisy wykonane kaligraficznie.

Teraz przeczytajcie uważnie, cośmy Wam poniżej o tych zwierzętach napisali i przepisacie na odpowiednich lewych stroniczkach do albumiku. Kto wie coś więcej, niech samodzielnie dopisze.

Te dzieci, które prenumerują „Płomyk” i „Płomyczek”, będą miały w albumikach nie 8, a 16 zwierząt!

Czy podobała Wam się ta primaaprilisowa niespodzianka?

1. ZUBR. Największe to z naszych zwierząt. Ma jakby garb na karku, 2 wykręcone rogi i wspaniałą grzywę. Jest zwierzęciem leśnym i żywi się głównie trawą. Do wielkiej wojny żył dziko w puszczy Białowieskiej. Obecnie żyje pod opieką człowieka w tejsze puszczy, w lasach Pszczyńskich i w ogrodach zoologicznych. Na całym świecie jest ich około 70 sztuk, z tego w Polsce kilkanaście. Zubry są naturalnie pod ochroną i ludzie iosem ich szczególnie się interesują.

2. BÓBR. Jest to zwierzę wodne. Poluje w nocy na... gałązki. Zjada korę i liście głównie topoli i wierzby. Potężnymi zębami, podobnymi do zębów zająca, nadpiłowuje drzewo, które pada własnym ciężarem. Część obgryzionych gałązek gromadzi na później, gdyż nie śpi w zimie. Dzięki polowaniu na bobry dla futra, wyteplono to zwierzę tak, że mało gdzie się znajduje; wzięto je więc pod ochronę. Tak zwane żeremia są to budowle bobrów ze splecionych gałązek, wysokości od 2 do 3 metrów.

3. ŁOŚ. Zwierzę to żyje na niedostępnych, zarośniętych moczarach i bagnach, gdzie człowiek rzadko zagląda. Żywi się korą, którą dziera z drzew, sięga do liści np. wierzby i zagarnia do pyska gałązie. Głowy do ziemi nie schyla, bo ma na niej łopatowate, ciężkie rogi. Jest to zwierzę wielkości konia, na wysokich nogach, zakończonych kopytami. Zgrabnie przebiega z kępy na kępę, by się zaszć w gęszczu. Łosie są u nas na północo-wschodzie, ale liczba ich zmniejsza się z roku na rok.

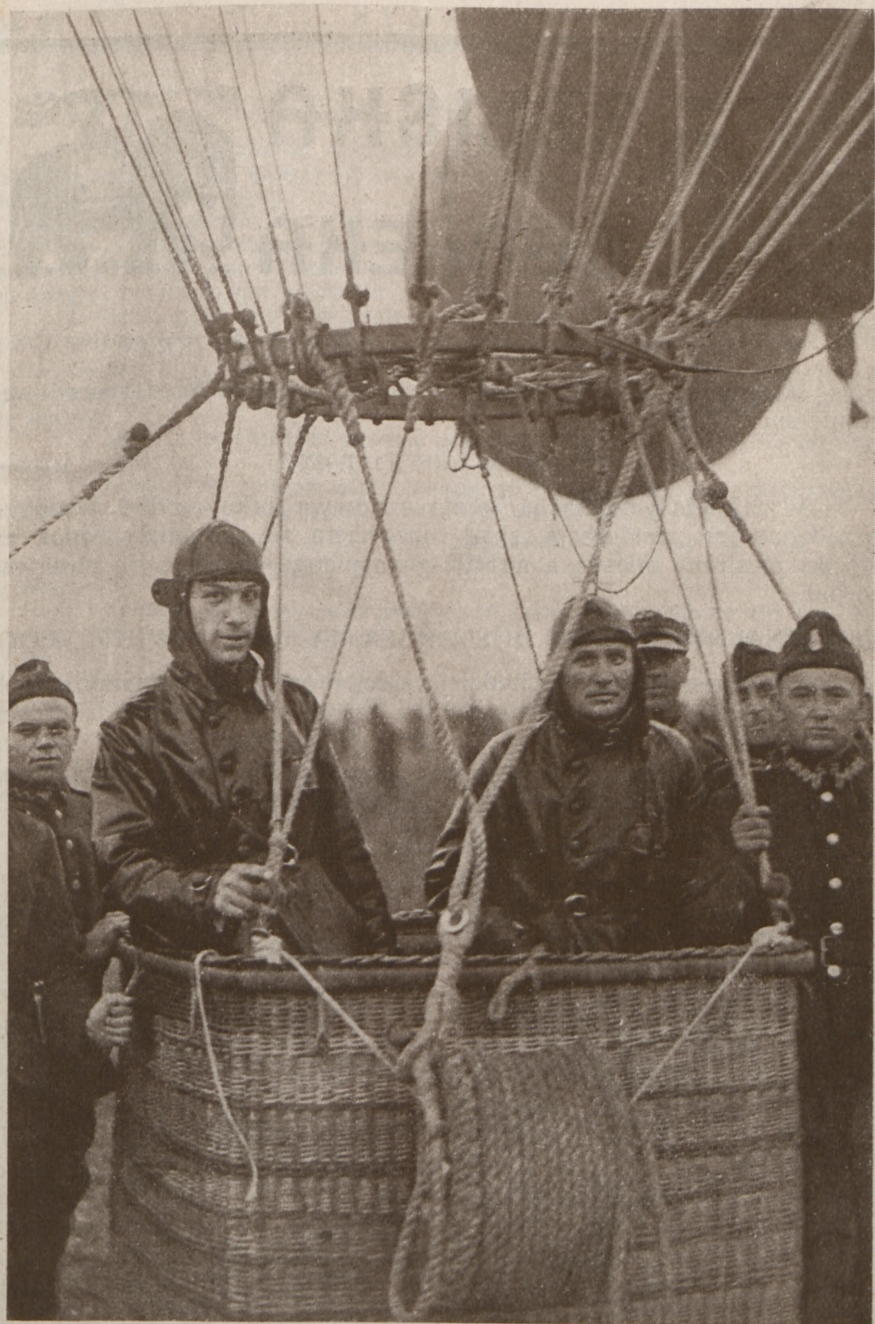
4. ŚWISTAK. Żyje wyłącznie w górach. Zwierząt tych jest obecnie coraz mniej i grozi im, że wyginą zupełnie. Dlatego są pod ochroną. Trzymają się rodzinami. Głównem ich pożywieniem jest trawa. Wobec niebezpieczeństwa, wydają ostry gwizd i szybko chowają się do nor. Zimowa nora, w której te śpióchy spędzają we śnie przeszło 6 miesięcy, jest wystana suchą trawą; prowadzi do niej bardzo długi kurytarz, dobrze zasłonięty i zabezpieczony przed zimnem.

5. KOZICA. Góry są ojczyzną tego miłego zwierzęcia, podobnego z wyglądu do kozy. Na brązowym tle sierści odznacza się na grzbiecie czarna pręga. Na głowie są zwrócone ku tyłowi niewielkie rożki. Nogi cienkie i mocne, zakończone są szczególnymi kopytkami; dzięki nim kozice dokazują cudów zgrabności: przeskakują kilkumetrowe przepaście, wdrapują się i zsuwają ze stromych skał, mogą stanąć na miejscu nie większem, niż nasza dłoń. Są prawdziwą ozdobą naszych gór — polować na nie nie wolno.

6. BORSUK. Żyje w lesie. Norę, którą sobie wygrzebuje mocnymi pazurami, utrzymuje w wielkiej czystości i siedzi w niej we dnie. W nocy poluje na owady, ich larwy, dżdżownice, ślimaki, żaby, jaszczurki, węże i myszy, lubi także poziomki, maliny, czarne jagody i grzyby. Na jesieni, gdy jedzenia wbród, zjada, ile się da i utuczony zasypia w miękko wysłanej i dobrze opatrzonej norze. Śpi zwinęty w kłębek, otulony w gęste futerko.

7. WYDRA. Jest to wodny rabuś, który znacznie więcej zwierząt morduje, niż zjada. Ciało ma długie i wąskie a ruchy w wodzie zwinne. Na polowanie wychodzi w nocy, świetnie pływa i nurkuje, zjada żaby i dużo ryb. Dzień spędza w norze, z której jeden wylot prowadzi na ląd, drugi pod wodę. Futro wydry w wodzie nie zamoknie, gdyż jest tłuste. Podczas pływania nozdrza, pyszczek i uszy ściśle się zamykają a nogi, spięte błoną, służą zwierzęciu, jak wiosła.

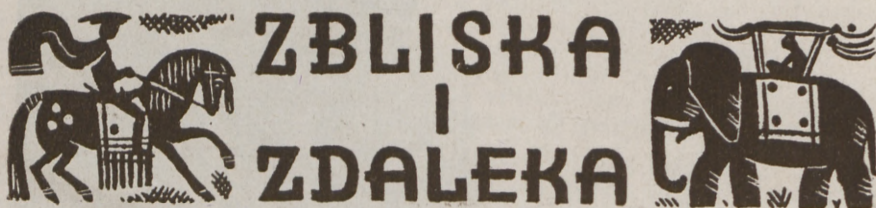
8. RYS. Jest to drapieżnik naszych lasów, który staje się coraz rzadszy. Żyje w Karpatach i na Litwie. Rozpoznać go łatwo po pendzelkach włosów na uszach i żółtawej ciemnocętkowanej sierści. Długość ciała wynosi 1 metr. Na inne zwierzęta napada znienacka kocim ruchem, rzucając się z gałęzi, gdzie czai się niepostrzeżony. Biada zającowi, wiewiórkom i myszom, które się znajdują w pobliżu niego. Gdy jest głodny bardzo, poluje na jelenie, sarny i większą zwierzynę.



Fot. Jan Ryś.

LOTNICY: PORUCZNIK BURZYŃSKI I PORUCZNIK HYNEK, KTÓRZY DOTARLI
DO STRATOSFERY.

(Podaliśmy o nich w poprzednim numerze artykułik)



KIEDY ZOSTAŁ ZAŁOŻONY „CZERWONY KRZYŻ”?

„Czerwony Krzyż” założony został w r. 1864 na Międzynarodowej Konferencji w Genewie.

DZIWIY NOWEGO JORKU.

W najwyższym gmachu świata w Nowym Jorku, na 86-tem piętrze urządzona jest restauracja, skąd rozpościera się wspaniały widok na wszystkie strony miasta, a na 102-giem piętrze znajduje się obserwatorium.

ORYGINALNY SPOSÓB DOSTARCZANIA GAZU ŚWIETLNEGO.

Niektóre wioski w zachodniej części Francji w oryginalny sposób zaopatrują się w gaz świetlny. Oto każdy z wieśniaków, chcących oświetlić swe zabudowania — otrzymuje z gazowni skrzynię, ważącą 50 kłgr., a zawierającą dwie butle zcieśnionego gazu, wystarczającego na 200 godzin i rurkę kauczukową, która łączy butlę z palnikiem.

KTÓRA RĘKA SILNIEJSZA?

Badania naukowe stwierdziły, że prawa ręka jest o 10 procent silniejsza od lewej, prawe ramię o 28 procent silniejsze od lewego.

ILU LUDZI ZAMIESZKUJE AUSTRALJĘ?

W całej Australji jest 8 milionów mieszkańców, t. j. prawie tyle, ile w samym New-Yorku.

LWY NA WOLNOŚCI.

Wiecie, że w warszawskim ogrodzie zoologicznym znajduje się 7 lwów. Dyrekcja ogrodu postanowiła, na wzór światowego ogrodu zoologicznego Hagenbecka w Hamburgu, trzymać lwy bez krat. W tym celu urządzono t. zw. „wybieg”, obejmujący teren 400 metrów kw., oddzielony 5½-metrową fosą, wypełnioną wodą i tam przetransportowano w przenośnych klatkach 3 lwy. Zwierzęta oswoiły się już z nowymi warunkami życia, przebywają tam cały dzień, a na noc wracają do pomieszczenia ogrzewanego w obrębie „wybiegu”.

JAK JEST POŁOŻONA WENECJA?

Wenecja leży na 118 małych wysepkach, połączonych zapomocą 378 mostów.

NA STÓŁ WIELKANOCNY.

Małą fatygą i kosztem 30 groszy na nasienie można zrobić mamusi śliczną niespodziankę, z której ucieszy się na pewno. Mianowicie: zieloną piramidę z rzeżuchy na stół wielkanocny.

Bierze się okrągłą deseczkę o średnicy do 50 ctm.; przygotowuje się osiem prętów, muszą być gładkie, długie na 1 metr (z leszczyny lub wierzbiny). W deseczce boruje się osiem otworów w równych odstępach. W każdą dziurę wkłada się patyk i przymocowuje cieniutkim ćwieczkiem.

U samej góry wiąże się pręty silnem лыkiem. W ten sposób utworzy się jakby szkielet, który trzeba miejsce koło miejsca owinać lnianemi pakułami.

Osobno bierze się dwie garście nasienia rzeżuchy ogrodowej i zalewa się dwiema szklankami letniej wody. Stawia się blisko pieca i zostawia na 48 godzin w spokoju.

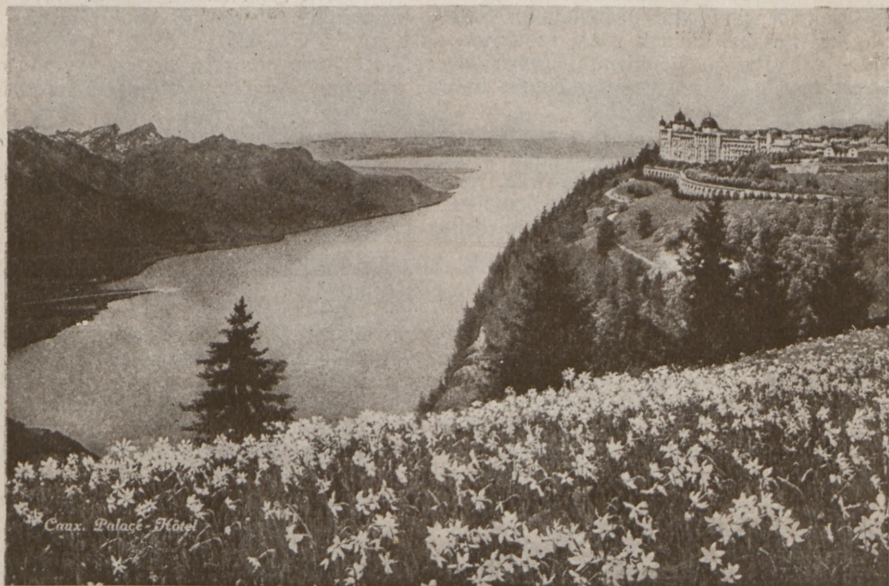
Po upływie tego terminu nasienie doskonale napęcznieje i nabierze wyglądu kleistej kaszy.

Gdy mamy już nasienie przygotowane, wilży się wodą pakuly na szkielecie i smaruje się całą piramidę nasieniem, starając się rozłożyć je równo.

Następnie ustawia się piramidę na słonecznem oknie i kropi się wodą 4 razy na dzień. Kropienie trzeba uskuteczniać bardzo ostrożnie, bo łatwo nasienie spłókać.

Po upływie 10 dni piramida pokryje się cudną, szmaragdową zielenią. Piramida taka bardzo ozdobi stół wielkanocny, a rzeżucha będzie przyprawą do mięsa.

Dzieci, mieszkające w mieście, którymby było trudno dostać pręty i deskę, mogą do tego celu użyć dużej butelki od octu, owiniętej watą drzewną.



CAŁE POLA NARCYZÓW — NAPRAWDĘ CAŁE POLA! — ZAKWITNĄ NIEDŁUGO NA STOKACH GÓR ALPEJSKICH. KTÓŻ NIE CHCIAŁBY POPATRZEC WŁASNEMI OCZYMA NA TEN CUD? NA TAKĄ ŁAKĘ USIANĄ BIAŁEMI, PACHNĄCEMI GWIAZDAMI?

Dział rozrywek.

REBUS.



ROZWIĄZANIE ZADANIA Z NR. 29.

Czy wiecie już, jak pomóc Wickowi i Wackowi? Trzeba wszystkie guziki wrzucić do beczki z wodą. Kościa-

ne są cięższe, opadną więc na dno, a drewniane będą pływały po powierzchni.

KALENDARZYK PRZYJACIOŁ ROŚLIN.

KWIECIEŃ.

Kończyć sadzenie drzew. Truskawki opleć i zasilić gnojówką. Wysadzić warzywne nasienniki. Sadzić ziemniaki. Wysiewać koper, aniz, czarnuszkę, kminek, mak, rzodkiewkę i t. p.

Przesadzić kwiatki doniczkowe. Mieć zapas doniczek dobrze wymoczonych i wysuszonych. Ziemię dobrać starannie i nie zapomnieć o skorupach na otwory w dnie.

W końcu miesiąca można wysiewać prawie wszystkie kwiatki.

Rozsadę na rozsadniku i w skrzyneczkach pielęgnować starannie i zasilać co kilka dni gnojówką, rozcieńczoną do połowy z wodą.

Przygotowane do wystawienia za okno skrzyneczki trzymać narazie przy otwartych oknach, aby się roślinki zahartowały.

M. S.

HALLO! TU MÓWI DO WAS RADJO!

We środę (5.IV. g. 15.35) — program dla młodszych dzieci. Wesoły obrazek p. t. „Panna Kropeczka i jej koledzy” przekona małe radjosluchaczka, że nie można lekceważyć kropek, przecinków, średników i innych znaków pisarskich, bo mogą z tego wynikać bardzo niepożądane komplikacje. Uzupełni audycję „Skrzynka pocztowa”, która przypomina, że termin nadsyłania zgłoszeń o nasionka warzyw (pisaaliśmy o tem obszernie w zeszłym numerze „Piomyka”) mija 10-go kwietnia.

Sobotnie (8.IV. g. 15.35) słuchowisko „Podróż po gwiazdnych szlakach” przeznaczone jest dla starszej młodzieży. Opisuje ono ciekawą, pełną niezwykłych przygód podróż pociskiem raketowym w międzyplanetarne przestrzenie.

Niedzielną (9.IV. g. 16.00) audycja (również dla starszej młodzieży) zawiera radjotygodnik „Co się dzieje na świecie” oraz interesującą pogawędkę o słynnym podróżniku — Komandorze Ryszardzie Byrd'zie.

Czwartkowy poranek muzyczny i szkolna audycja sobotnia ze Lwowa uzupełniają programy.

Listy od Redakcji.

DO KRYSI ANSCHÜTZÓWNY W KATOWICACH. A jak Ci zeszły zimowe wakacje? Czy jeździłaś na nartach?

DO WICKA ŻAGÓRSKIEGO W WIELICZCE. Pytasz, dokąd można posyłać książki, przeznaczone dla dzieci polskich zagranicą. Najlepiej prześlij je do „Towarzystwa Bibliotek i Wydawnictw Popularnych dla Wychodźców im. Józefa Okołowicza”. Stamtąd już dostaną się do takich miejsc, gdzie są najbardziej potrzebne.

DO EWY KRAUZÓWNY W KOCEWIE. Śnieg stopniał, ale ptaszki długo jeszcze będą potrzebowały Twojej opieki, więc o nich nie zapominaj.

DO JANA LIBKINDA-LUBODZIECKIEGO W WARSZAWIE. Bardzo nieprzyjemna rzecz zgubić matrykę i kartę tramwajową. Ale to nauka, by być uważnym na drugi raz.

DO MARYŚKI GRACZYKÓWNY W SZYMANOWICACH. Pewno, że więcej korzystacie teraz z pisemek, gdy je Wam Pani pozwala brać do domu do przeczytania. Czy też i rodzeństwu w domu czytujecie czasem głośno? Całą klasę pozdrow od „Ptomika” i pięknie pokłoni się Pani.

RENIA STILLERÓWNA, zamieszkała w NOWYM TARGU, podaje za naszym pośrednictwem do wiadomości Alinki Winreg, że chętnie będzie z nią korespondowała. Jest uczenicą V klasy.

DO OLI BIEGANOWSKIEJ WE WŁOCŁAWKU. Czy masz koleżanki, Olu, z którymi mogłabyś się bawić? Wierszyk, który nam nadesłałaś, ładny jest, nie wydrukujemy go jednak, bo, jak nieraz mogłaś już czytać w „Odpowiedziach Redakcji”, tylko dorosłych utwory drukujemy.

DO MARYSI UBYSZANKI W ŚLUPCY. Jak napiszesz ten wierszyk, to nam go możesz przysłać do przeczytania. Jakże to książki dostajecie w szkole? W co najlepiej lubicie się bawić?

Dziękujemy za miłe listy, które nadesłali: TADZIO KUPCZYK, TADZIO OLESZCZAK, IRENKA KALIŃSKA, PAWEŁ ZIMNOWODA, KL. IV-B. SZK. POWSZ. 67 W WARSZAWIE.



WARUNKI PRENUMERATY NA ROK SZKOLNY 1932/33.

	Miesięcznie	Kwartalnie	Rocznie	Nr. poj.
„Ptomik”	1 zł. 50 gr.	4 zł. 50 gr.	14 zł.	40 gr.
„Ptomyczek”	1 zł. 20 gr.	3 zł. 50 gr.	11 zł.	30 gr.
„Ptomik” z „Ptomyczkiem”	2 zł. 30 gr.	6 zł. 50 gr.	21 zł.	60 gr.

Ceny podane są wraz z kosztami przesyłki.

Adres redakcji i administracji: Warszawa, Wybrzeże Kościuszkowskie Nr. 35 (wejście od ul. Dobrej Nr. 6).

Dla prenumeratorów warszawskich biuro administracji ul. Świętokrzyska Nr. 18. Nr. telefonu administracji 322-18, redakcji 538-26. Konto czekowe P. K. O. 6880.

Redaktorka przyjmuje od g. 1 do 3, prócz wtorków i sobót.

Administracja przy ul. Świętokrzyskiej otwarta codziennie od godziny 9-ej rano do godziny 7-ej wiecz., na Wybrzeżu Kościuszkowskim od 9-ej rano do 2-ej pp.

Wydawca: w imieniu Związku Nauczycielstwa Polskiego — JOZEF WŁODARSKI. Redaktorka — HELENA RADWANOWA. Kierownik artystyczny — MICHAŁ BYLIŃA.

Zakłady Graficzne „NASZA DRUKARNIA”, Warszawa, Sienna 15.



Lubicie pszeniczkę?